

**ELIZA
ORZESZKOWA**

ZEFIREK

Eliza Orzeszkowa

Zefirek

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Zefirek / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Do wdowy żyjącej z niewielkiego kapitału po mężu przyjeżdża z wizytą daleki krewny. Od słowa do słowa — chodzi o zainwestowanie całej sumy w jego przedsięwzięcia finansowe. Nietrudno się domyśleć, że gdy daleki krewny chce się zaopiekować twoim całym majątkiem, to raczej dobrego nic z tego nie wyniknie. Zwłaszcza gdy w tle tli się romans. Opowieść z prostym morałem i dość sztampowa, ale dobrze napisana. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wycucie na problemy społeczne — w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

Eliza Orzeszkowa

Zefirek

Był to jeden z dziedzińców tych, które tylko w prowincjonalnych miastach spotkać można. Rozległy i niebrukowany, od strony ulicy miał dom drewniany, lecz duży i dość ozdobny, a w głębi budowę długą, niską, zrujnowaną, której środkowa część, całkiem prawie rozrzucona, służyła za drwalnię i śmietnisko, a oba końce, w kąty dziedzińca wsunięte, zawierały po jednym mieszkanie, o dwu małych okienkach i wązkich drzwiczkach, rozdzielonych z ziemią parą spróchniałych wschodków. Jeden bok dziedzińca otoczony był parkanem, za którym ciągnęły się warzywne i owocowe ogrody. Przy drugim, nowy właściciel zaniedbywanej długo posiadłości tej wznosił kamienicę, której mury świeże, czerwone i dachu jeszcze pozbawione, świeciły kilku rzędami kwadratowych dziur, na okna pozostawionych.

W jednym z kątów dziedzińca, za drobnymi szybami okienka, migotały, na wystawę niby wywieszane, różnokolorowe robótki kobiece, jako to: serwety, podstawki, buciki dziecinne i t. p. Kto tu wystawę, tę mógł widzieć i przez nią do kupowania zachęconym zostać? Trudno było odgadnąć, zarówno jak domyślić się: na co lub na kogo, wśród pustego dziedzińca tego, spoglądać mogła, także na wystawie, u okna drugiego mieszkania, kobieta.

Była to pani Emma Żyrewiczowa, niegdyś na cały gmach pocztowy z dobroci i wdzięków swych słynna, córka pomocnika pocztmistrza, potem żona Ignacego Żyrewicza, urzędnika, zajmującego posesję znaczną i dochodną, teraz od lat kilku już wdowa, utrzymująca się z małego kapitaliku wraz z córką, która, z pomiędzy trojga dzieci jęj, sama jedna pozostała przy życiu.

Ci, którzy ją od najwcześniejszej młodości jęj znali, utrzymywali, że dobiega ona końca krzyżyka piątego. Patrząc jednak na nią, trudno było temu uwierzyć. Wyglądała co najmniej o dziesięć lat młodziej. Była kiedyś bardzo ładną, jakkolwiek zawsze trochę za chudą i bladą; dotychczas też zachowała cienkość i gibkość kibici, delikatność cery, turkusowy błękit oczu i gołębią słodycz wejrzenia. Po przyjrzeniu się dopiero, spostrzedz można było na białym czole jęj gęstą siatkę drobnych zmarszczek, dokoła przywiedłych powiek czerwony brzeżek, i parę fałd, zarysowujących się u dołu policzków. Pod leciuchnym czepeczkiem, ufryzowane **nioby** jęj siewały też z lekka. Ubrana była w czarną suknię, poplamioną i tu i owdzie pocerowaną, lecz powłóczytą i przyozdobioną z boku kokardami o długich końcach.

Pokój, w którym siedziała, bardzo podobny był do jęj sukni.

Dość obszerny, ale niski, z brudnymi ścianami i brudniejszym jeszcze kominem w rogu, stanowił on, wraz z malutkimi ciemnymi sionkami, całe mieszkanie. Brudne ściany podpierały belkowany sufit, od którego, w malowniczo ułożonych draperyach, opuszczały się szmaty kosztownych niegdyś firanek, dość dziwacznie przyozdobione gałęźmi mizernego bluszczu. Stoły, stołki i szafy nieliczne tam były, tanie i stare, lecz pomiędzy nimi królował fortepian, ze splezłą wprawdzie politurą, niemniej będący tu widmem niby dostatniego i przez sztukę uprzyjemnionego życia. Naprzeciw straszego komina, na pół przysłoniętego brudną firanką z zielonego perkalu, stała pod samym oknem miękka kanapka, podartym dywanikiem orzucona, i na niej-to właśnie siedziała właścicielka mieszkania tego, z wyrazem znudzenia i smutku, wodząc okiem po obszernym i pustym dziedzińcu.

Białe, delikatne jęj ręce trzymając kawałek zahaftowanego batystu, spoczywały bezwładnie na jednej z zacerowanych dziur, malowniczo skrojonej i przyozdobionej sukni. Smutne snadź myśli przechodziły po głowie wdowy, bo czoło jęj sfałdowało się kilka razy w grube zmarszczki... wzdychała. Ożywiła się jednak i rozwelliła nieco, ujrzawszy postać ludzką, wchodzącą w bramę dziedzińca. Była to tylko żebraczka stara, ze zgrzybiałą twarzą i w łachmany przyodziana, lecz, kijem swym stukając o bruk dziedzińca, zmierzała wprost ku jęj okienku w tę stronę.

– Niech będzie pochwalony, – ozwał się za szybami głos trzęsący się i ochryply.

– Na wieki! – z uprzejmym skinieniem głowy odpowiedziała Żyrewiczowa i, trochę już uśmiechnięta, sięgnęła pośpiesznie do szufladki stolika, z kądy wyjęła miedziany pieniążek, który, otworzywszy okno, żebrazce podała.

– Za duszę Ignacego, – rzekła przytym, – zmów, kochanko, Anioł pański za duszę Ignacego!

– Niech Bóg zapłaci! niech Bóg zapłaci! Wiem już, wiem, za jaką to duszyczkę Pani Dobrodziejka modlić się zawsze każe! Anioł Pański zwiastował...

Stała tuż za oknem, na kiju swym wsparta, i półgłosem pacierz swój wymruczała. Pani Emma zdawała się go też z cicha powtarzać, bo poruszała ustami i patrzyła w niebo.

– Pani Dobrodziejka zawsze samiuteńka jedna siedzi, – zaczęła żebrazka.

– A sama, kochanko... cóż robić? sama...

– Córuniczkę spotkałam... tam, na Błotnym zaułku... bieliznę w koszu do magła niosła. Oj, oj! kosz taki ciężki, aż się panienczka gięła, niby trzcina... Napracuje się to niebożatko, napracuje...

Tym razem żywy rumieniec oblał twarz wdowy.

– Ona to lubi, – odrzekła prędko, – to już taki charakter... wszak potrzeby niema żadnej... żadnej.

– Oj, oj, co tam za potrzeba! – schlebającym tonem potwierdziła żebrazka; – wiadomo! panom zachiewa się czasem różności... Niech będzie pochwalony...

Zabierała się do odejścia, ale Żyrewiczowa niespokojnie poruszyła się na swym siedzeniu. Widocznie wstyd jej było zatrzymać żebrazkę, a nie chciała choćby tego towarzystwa utracić.

– Słuchajcie no, kochanko – zaczęła, – a co tam dziś na mieście? ruch wielki? co?

– Oj, oj! czemu nie mają ruszać się? dzionek pogodny, letni! Na ogrodowej ulicy przecisnąć się nie można, tylu panów spaceruje, a panie, to wszystkie poubierane w takie suknie, że aż w oczach ćmi się, patrząc...

Wdowa westchnęła. Brzegi powiek jej zaczerwieniły się mocniej jeszcze, bo źrenice zabiegły łą.

– A w ogrodzie muzyka gra? – zapytała ciszej.

– Aj, aj! aż się po całym mieście rozlega! Ale czemu to pani dobrodziejka nie wyjdzie sobie do miasteczka, na boże słoneczko i na różne różności popatrzeć? Oj, oj, aż litość bierze, patrząc, że taka pani marnuje się tak w smętności i na odludziu!...

Za nic, za nic w świecie nie wyznała-by przed tą nawet skromną powiernicą swą, że na miasto wyjść nie może dla braku odpowiedniego kapelusza i okrycia. Siłac się więc na uśmiech, lecz z oczyma pełnymi łez, odpowiedziała:

– Gdzie mi tam, kochanko, myśleć o takich rzeczach, wdowie, przez przyjaciela swego i świat cały opuszczonej...

Z głośnym wzdychaniem i żalonym kiwaniem głową, żebrazka zaczęła:

– Oj, biedaczka moja, biedaczka! Nieboszczyk bo, niechaj światłość wiekuista duszyczce jego przyświeca, dobry był pan, dobry...

– O, jaki dobry! jaki dobry! najlepszy w świecie! – wykrzyknęła wdowa i zalała się już rzęsimi łzami. Przyłożyła chustkę do twarzy, łkała. Żebrazka zaś, oparta wciąż na kiju swym, ze współczuciem mruzczała:

– Biedulka! biedulka! Ot, żałuje towarzysza swego! ot, płacze po nim! ot, serce złote!

Nagle, w chwili właśnie gdy wdowa chustkę od twarzy odejmowała, pomiędzy bramą a wejściem do przeciwległego domu przesunęła się szybko męzka jakaś postać.

– A! – wykrzyknęła pani Emma, i zerwała się z siedzenia. Łez nie było już w oczach jej ani śladu, zbolalość ustąpiła przed uradowaniem, zmieszaniem z żywym zaniepokojeniem.

– Z Bogiem! z Bogiem, kochanko! – rzekła do żebrazki, i pośpiesznie okno zamknęła.

Ale żebrazka, z wielokrotnego zapewne doświadczenia, wiedziała, że za gawędę, słuchanie zwierzeń i okazywanie współczucia, należy jej się słuszna nagroda. W sposób ten zapracowała na grosz, którego bynajmniej tracić nie chciała.

– Paniuniu! dobrodziejko! obdarzcie jeszcze czémkolwiek biedną tak samo wdowę!

To „tak samo” przykre na pani Emmie wywarło wrażenie. Wzdrygnęła się lekko i dumnie podniosła głowę, na żadne jednak szorstkie lub gniewne słowo zdobyć się nie mogła. Przez lufcik już tylko, szybko otwarty i zamknięty, rzuciła naprędce znaleziony srebrny już pieniążek, i mówiąc:

– Idźcie już sobie, idźcie z Bogiem, – odbiegła od okna.

Stanąła na środku pokoju i szybkim spojrzeniem orzuciła go dokoła. Poskoczyła ku fortepianowi, otworzyła go i na pulpicie rozłożyła parę podartych zeszytów nut; mantylką jakąś, naprędce z szafy pochyconą, starła pył ze stojącego pod kanapką stolika. Uczyniwszy to wszystko, rzuciła się ku krzywo, bo na dwóch tylko nogach, stojącej komodzie, a odsunawszy jedną z jej szuflad, na jakiejś wyszczerbionej pozostałości porcelanowego talerza zgrabnie ułożyła kilka ciastek i trochę cukierków, wydobytych z papierowego worka. Następnie rzuciła okiem po całym swém ubraniu, a spostrzegłszy na przedzie sukni zacerowaną dziurę, zakryła ją końcem zwisającej od pasa wstążki, który przymocowała szpilką. Nakoniec usiadła znowu na kanapie i, zdyszana nieco, utkwiała wzrok we drzwiach wchodowych domu, od ulicy stojącego. Błady lecz świeży rumieniec wybił się na jej policzki, oczy rozbliły wyrazem przyjemnego oczekiwania, odmłodziła jeszcze o lat dziesięć.

Po kwadransie, oszklone i brązową klamką świecące, drzwi otworzyły się, a młody, wysoki, zgrabny mężczyzna, który z nich wyszedł, przebył szybko dziedziniec, paltot, od niechcienia na ramionach zarzucony, umieścił w małych sionkach, na stariej, dnem do góry przewróconej beczce, i ukazał się w mieszkaniu wdowy. Był to dwudziestokilko-letni przystojny chłopak, z niskim czołem, ale w migdał wykrojonymi, pięknymi oczyma, które, jakkolwiek dość bezmyślne, błyszczały pewnym rodzajem ożywienia i sprytu, z płowym, ładnym wąsikiem i eleganckim kapeluszem, a zarazem liliową, zmiętą, rękawiczką w ręce.

– *Bon jour, ma tante!* – zawołał, wchodząc.

– *Bon jour! bon jour!* – pieszczotliwym prawie głosem odpowiedziała gospodyni mieszkania, i wyciągnęła do gościa piękną rękę swą, którą on, wymownie w twarz jej patrząc, z uszanowaniem ucałował. Ukazując mu miejsce obok siebie, z błyszczącym wzrokiem i żywymi gestami mówić zaczęła:

– Widziałam pana wchodzącego do adwokata Rolickiego, i ciekawą byłam bardzo, czy też pan Stanisław i o mnie przypomni sobie... Siedzę tu, jak pan widzi, sama jedna... trochę smutna, i myślę sobie: zajdzie, nie zajdzie?

Przy ostatnich słowach uśmiech miała figlarny a spojrzenie smętne.

Gość usiadł przy niej i, z łokciem zaokrąglonym na poręczy kanapki, z lekka się ku niej pochylał:

– *Mais comment donc!* – zaczął, – kiedyż-to ja, będąc w mieście, kochanej stryjeczki nie odwiedziłem? Ale proszę mi powiedzieć, za co stryjenka tak mię krzywdzi?

– Ja! – wykrzyknęła z przerażeniem, – ja pana Stanisława krzywdzę? *Au nom du ciel!*...

– A jakże! pan... pan... pan Stanisław, to, jak Boga kocham, aż żal bierze! Czy to ja nie jestem synowcem nieboszczyka mego stryja...

– Pokrewieństwo nie blizkie, – wyjąkała, – ojciec pana był stryjecznym bratem...

– Ale cóż znowu! – zawołał z żywością, – cóż znowu! stryjeczny czy wujeczny, ja chcę, żeby stryjenka nazywała mię, jak dawniej, po imieniu i koniec. No, proszę mi powiedzieć: Stasiu! bardzo proszę!

– Stasiu! – szepnęła ze spuszczonej oczyma.

Pod ładnym wąsikiem jego drgnął szybki uśmiech, wnet jednak wyrzekł:

– Stryjenka sama mówi zawsze, że najważniejszym pokrewieństwem jest braterstwo dusz. O, ja pamiętam!

Podnosząc do oczu robótkę, od niechcienia niby odpowiedziała:

– *C'est vrai!* szczęśliwi ci, którzy je w życiu znaleźli...

I ciszej dodała:

- Życie mija... mija... mija...
- No, przecież nie minęło jeszcze! – perswadował Staś.
- O! – wymówiła, – słońce już zachodzi...

Chciała powiedzieć coś więcej jeszcze, lecz nagle spojrzała w stronę komina i spostrzegła, że do osłaniania pasczy jego służąca firanka całkiem spuszczoną nie była. Nie była ona spuszczoną do tego stopnia, że z za nią ukazywał się, jak na dłoni, gliniany, otłuszczony garnek, do połowy napełniony zastygłym, z obiadu na wieczerzę pozostawionym, rosółem. Skamieniała i wątek rozmowy utraciła. Ale Stanisław prowadził ją dalej w raz przyjętym tonie:

– Ale gdzież tam, – mówił, – jakie tam zachodzenie! Stryjeneczka Bóg wie co zawsze o samój sobie wygaduje! Ileż naprzykład stryjenka lat mieć może?

Z prostotą odpowiedziała:

– Rachunek prosty. W szesnastym roku życia mego wyszłam za męża, a Brynia, moje najstarsze dziecko, ma już dwadzieścia dwa lata!

Wąsiki gościa drgnęły znowu i poruszyły się w sposób szczególny. Wiedział on dobrze, ten syn stryjecznego brata Ignacego, że w złożonym przed nim rachunku, kilku lat brakowało u początku, i kilku u końca. Niemniej jednak wymówił ze śmiechem:

– Trzydzieści kilka lat! rozkoszny wiek dla kobiety! Samo życie, sam rozkwit! Trzydziestokilkolennie i nawet czterdziestolennie kobietki są właśnie najbardziej powabnymi! *nous le savons, nous...*

– Oh! *vous! vous!* – figlarnie pogroziła mu gospodyni, a pragnąc spojrzenie jego odwrócić jak najdalej od nieszczęsnego komina i wyglądającego zeń garnka, zlekka ukazała palcem dom przeciwległy i zapytała:

– *Vous avez rendu visite aux Roliccy?*

– *Oui; j'avais été là,* – odpowiedział. – Miałem interes...

Widocznie, oboje nie byli biegłymi we francuszczyźnie i używali jej błędnie i z trudnością. Lecz silili się na wtrącanie do rozmowy francuskich słów i frazesów, dla wzajemnego przypodobania się sobie.

– Jakże idą interesa? – troskliwie zapytała wdowa.

Wyraz niesmaku rozlał się po ładnej twarzy gościa. Uczynił ręką gest niechętny.

– Co tam mówić o takich nudnych i poziomych rzeczach! Kiedy jestem przy stryjenczce, zapominam o wszystkich kłopotach i nieprzyjemnościach. *Vous êtes mon ange consolatrice!*

Promieniała od czułości i uradowania.

– *Oh, parlez à moi avec le coeur ouvert!* – wyrzekła z cicha; – chociaż skrzydła moje są oddawna złamane, umiem jednak czuć i podzielać...

– Stryjeneczka jest doprawdy godną lepszego losu...

– Co tam! stało się! nie mówmy o tém...

– Ja stryjowi doprawdy nie mogę darować, że... że zostawił stryjenkę w takim położeniu.

Rzuciła spojrzenie ku nieosłoniętemu kominowi.

– O, położenie moje wcale złém nie jest, oszczędzam się... to prawda; ale dobrowolnie... gusta mam skromne. Ignacy był może poziomym, pospolitym człowiekiem... miałam może prawo marzyć o czémś... o czémś wznioślejszém, ale... był on bardzo, bardzo dobrym, myślał i pamiętał o mnie...

– Roliccki mówił mi, że oprócz tego, co stryjenka mnie pożyczyła, ma kapitał u niego ulokowany...

– Ależ tak! jakże! mam kapitał...

– Mówił mi, że trzy tysiące...

– Tak, u niego trzy tysiące, ale gdzieindziej...

Gość jednak wiedzieć musiał na pewno, że owe: gdzieindziej nie istniało wcale, bo nie okazał ciekawości żadnej, tylko, do siebie jakby szepnął:

– U mnie trzy, tam trzy, to sześć!

Po dokonaniu dodawania tego, ocknął się niby ze snu i zawołał:

– Ale, jak Boga kocham, po co ja tracę miłe chwile i o takich poziomych rzeczach...

– Owszem, owszem, – przerwała z żywością, – czyż nie jesteś jedynym przyjacielem i opiekunem moim... O, wszyscy dawni przyjaciele i znajomi moi opuścili mię, gdy tylko mój Ignacy oczy zamknął. Ty jeden tylko, Stasiu, nie zapomniałeś o mnie i opuszczasz swój świat wesoly i błyszczący, aby odwiedzić i pocieszyć biedną samotnicę!

Łzy zakręciły się znowu w oczach jęj, wyciągnęła rękę ku młodemu krewnemu swego męża. – Nosisz nazwisko mego Ignacego, – szepnęła, – jesteś synem kochanego Bolesława, z którym tyle, tyle chwil wesolych spędziłam... a przytém czuję, że dusze nasze są bratnie sobie, że jesteś zdolny zrozumieć te nieokreślone tęsknoty i nieujęte żale, które...

– O tak! tak! – całując ją w rękę, przerwał z zapałem i pośpiechem; – jestem zdolny zrozumieć... mam bratnią duszę, to pewno nieboszczyka. Ojciec mój, pamiętam, zawsze mówił o stryjence: jaki to śliczny zefirek, ta moja bratowa!

Nie było już w oczach jęj łez ani śladu. Śmiała się z rozkoszą.

– Doprawdy! więc pamiętasz, jak mię Ignacy i cała rodzina jego nazywali zefirkim? O, jaką ty dobrą masz pamięć! Zresztą, niezbyt to jeszcze dawno... – ciszej dodała: – Kiedy byłam w domu rodziców moich, nazywano mię Sylfidą...

– Dlaczegoż to? proszę stryjenki! – dość naiwnie zapytał gość.

Zarumieniła się lekko i mimowoli spojrzała po swęj kibici.

– Aha! – odpowiedział, ale markotniał widocznie i wesolość jego gasła pod napływem przykrych jakichś myśli.

– Stryjenciu, – zaczął, – dlaczego stryjenka u Rolickiego ulokowała swoje pieniądze?... on to w biletach trzyma, a z tego procent mały...

– O, – zaprotestowała, – ja się na tém nie znam...

– Ale ja znam się i mówię stryjence, że to strata duża i niepotrzebna.

Spojrzał w okno i niedbale dodał:

– Teraz najlepiej jest lokować kapitały na obywatelskich majątkach...

– O, obywatele... to pewnie, – zaczęła.

– Otóż to, chciałem nawet stryjenki zapytać, czy nie ulokuje tych trzech tysięcy u mnie?

– *Mais comment!* – zawołała – i owszem! dlaczegożeś wprzódy mi nie powiedział?

– Tak... przykro mi jakoś było... **mea culpa!** nie zapłaciłem jeszcze procentu ani Łopotnickiej, ani stryjence...

– O, co tam! co tam! nie mówmy o tém! – zaczęła, ale z zaniepokojonych jęj oczu widać było, że kwestya procentu interesowała ją przynajmniej tyle, ile nieosłonięte wnętrze komina.

– Gospodarstwo teraz strasznie trudne, – mówił gość, – nakłady i nakłady... a niepodobnaż znowu, aby człowiek zakopał się żywcem na wsi...

– Ależ naturalnie! Zakopać się na wsi! brrr!

Wzdrygnęła się ze wstrętem zupełnie szczerym.

– Jeżeli więc stryjenka chce i może...

– *Mais comment donc!* i chcę, i mogę.

– *Merci, merci!* – wymówił z uczuciem i kilka razy pocałował ją w rękę.

– Pójdziemy razem do Rolickiego, zaraz, – rzekła i już wstawiała z kanapki, gdy na dziedzińcu ozwał się rozniewany i krzykliwy głos kobiecy. Była to kobieta wysoka, kształtnie i silnie zbudowana, w krótkiej spodnicy, grubém obuwiu i wielkiej chustce na głowie, która, trzymając w ręku spory kosz, pełen bielizny, a zwrócona ku otwartym sionkom mieszkania, znajdującego się w drugim kącie dziedzińca, rozpoczynała z kimś zajadłą jakąś kłótnię. Odpowiadał jęj z sionek głosik kobiecy także i także donośny, ale cienki i przerażenie bardziej, niż rozniewanie zdradzający. Z burzliwej rozmowy tęj rzadkie zaledwie słowa dochodziły uszu p. Emmy i jęj gościa. Słysząc było coś o wyrzucaniu śmiecia na ścieżkę, o jakiejś wiąźce drow, o jakiejś kwarcie mleka. Kobieta z koszem w ręku i chustką

na głowie, przedstawiała wyraźnie stronę napastniczą; ta, która odpowiadała z głębi sionek, broniła się coraz bardziej płaczącym głosem.

– Czy to panna Brygida? – zapytał Stanisław i szeroko otworzył oczy, tak, jakby świadectwu ich wierzyć nie chciał.

Na twarz p. Emmy wystąpił wyraz cierpienia, dosięgającego niemal stopnia męki. Wyglądała znowu o lat dziesięć starszej, niż przed chwilą.

– Jestem bardzo nieszczęśliwą matką, – szepnęła. – Brynia dobra jest, serce ma najlepsze, ale sam widzisz... do czego to podobne, ażeby tak ubierać się i takie kłótnie zaprowadzać... Jest to natura gruba, pospolita... w ojca wrodziła się, który był dobry, o, bardzo dobry, ale nie miał téj delikatności uczuć... téj poezji serca, które były zawsze ideałem moim... Cóż robić! stało się! nie mówmy lepiej o tém...

Przykro wzruszona, pełnym wdzięku krokiem postąpiła ku komodzie, wyjęła z szuflady talerz z ciastkami i cukierkami i postawiła go przed gościem.

– Niech cię chociaż tém przyjmę, mój Stasiu, – rzekła serdecznie.

Stanisław uprzejmie wziął jedno z ciastek; gospodyni, białymi jeszcze ząbkami gryźć zaczęła cukierek, a pragnąc odwrócić uwagę gościa od toczącej się wciąż na dziedzińcu kłótni, z przykrém roztargnieniem i na chybił trafił zaczęła:

– Rolicki kamienicę buduje...

– A dlaczegoż-by nie? Nabrał od nas pieniążków sporo i niezły sobie fundusik uciułał! Tacy to tylko, jak on, żyć teraz i panować mogą!

– Ależ to bardzo zacny i rozumny człowiek, – z żywością ujęła się za sąsiadem swym gospodyni.

– Ignacy mówił o nim zawsze, że fundusz jego uczciwie jest zapracowany...

– Może i uczciwie, nie przeczę temu wcale i nawet tak jest najpewniej; ale że wziął on fundusz ten nie z czyjéj innéj, tylko z naszej, obywatelskiej kieszeni, to także prawda. No, niechże stryjenczka sama powie, kto, jeżeli nie my, obywatele, utrzymujemy i wzbogacamy wszystkich tych panów adwokatów, doktorów i innych, podobnych parweniuszów? Nie prawdaż? Niech stryjenska sama powie!

– Ależ naturalnie; to widoczne! – ulegając wpływowi słów jego, z przekonaniem odpowiedziała:

– I dziwią się potem, żeśmy goli! Ot powiem stryjence otwarcie, że, chociaż mam jeszcze majątek i, chwała Bogu, jestem w stanie długi moje najrzetelniej pospłacać, tak mi już i gospodarstwo to i interesy dokuczyły, że wolał-bym sto razy być takim Rolickim niż tém, czém jestem.

Pani Emma uczyniła giest pełen przerażenia.

– Stasiu! – zawołała, – co mówisz? Jakież to porównanie może być pomiędzy tobą a Rolickim! Jesteś przecież obywatelem... o ileż to szacowniej, poetyczniej... wyżej...

– No tak, tak!... Któż o tém nie wie; ale świat tak się teraz do góry nogami przewrócił, że gdzie nieszczęsny obywatel ten obróci się, tam kłopot, gdzie stąpi, tam zgryzota...

Musiał mieć istotnie wiele zgryzot i kłopotów, żądań może, których zadowolnić nie mógł, obaw, które instynktowo, pod wpływem samozachowawczego zmysłu, czuł. Czoło jego sfałdowało się, twarz oblała się smutkiem, nerwowym ruchem targał ładne wąsiki. Nagle lży mu nadbiegły do oczu, pochwycił rękę pani Emmy i do ust ją poniósł.

– Moja stryjenczko! – mówił wzruszonym głosem, – wypowiadam się przed stryjenczką, jak przed księdzem. Co ja winien? przywykłem dobrze żyć i niczego sobie nie żałować. Czy ja mogę teraz, za młodu, zasiąść na wsi jak pustelnik, barszcz jeść i z parobkami swymi przestawać? Nuda taka, że choć pod ziemię skryj się! Trzeba czasem do miasta pojechać, a w mieście, nie chcąc, wleziesz zawsze w jakieś wydatki... To to... to owo! Zresztą, prawdę mówiąc, i po papie długi już na Żyrowicach pozostały... Czy ja święty, żeby w takie ciężkie czasy mógł majątki z długów oczyszczać? Młodość ma swoje prawa... czasem i niepotrzebnie coś się wyda... ale koniec końcem, z tego wszystkiego robi się życie ciężkie; tu urwij, tam załataj, a wiecznie tylko i myśl o tém, żeby z całej gmatwaniny i dla siebie co przyjemnego wyciągnąć, i przed ludźmi z honorem wyjść... Widzi

stryjeneczka, jaki jestem szczery! wszystko przed stryjenką wypowiedziałem, i proszę mię teraz pocieszać!

Wzruszony sam opowiadaniem dolegliwości swych, garnął się ku nięj, jak dziecko.

– Czy stryjeneczka pamięta, jak pieściła mię i przysmaczkami okarmiła, kiedym z papą do stryjowstwa przyjeżdżał?

Rozrzewniona do stopnia najwyższego, macierzyńskim ruchem odgarnęła mu włosy z czoła, i ze łzami w oczach wstała z kanapki.

– Mój Stasiu! – rzekła, – niech ja ci ulę choć trochę i w czémkolwiek pomogę! O tak, pamiętam cię, jak byłeś dzieckiem... takim ślicznym chłopaczkim, z włoskami co wieczór zawijanymi w papiloty. Lękałeś się bardzo ciemnego pokoju, a tak dobrze naśladowałeś ruchy i miny każdego, że umieraliśmy ze śmiechu... Jaki ty jesteś dobry, że przychodzisz czasem do mnie i przynosisz mi z sobą odblask jakiegoś wyższego, idealnego życia, jakiegoś pięknego, błyszczącego świata.

Otarła chusteczką łzy z oczu, i bardzo kunsztownie owinęła sobie głowę wyjętym z komody szalikiem...

– Chodźmyż do Rolickiego...

U drzwi stanęła.

– Stasiu! – wymówiła z cicha.

– Co, stryjeneczko?

Najróżniejsze uczucia malowały się na jęj twarzy: niepokój, nieśmiałość i pewna jakby uroczystość.

Ta ostatnia przemogła.

– Stasiu! – zaczęła uroczystym, choć zawsze nieśmiałym nieco głosem, – w ręce twoje powierzam cały mój majątek... Wiész? jestem sama... prawie bezdzietna... bo Brynia... zaledwie wierzyć mogę, że jest córką moją... cóż-by więc stało się ze mną...

– Stryjenko! – zawołał Stanisław, – czyż zasłużyłem na podejrzenie takie? Niech-że stryjenka zaufa honorowi i przywiązaniu memu...

Ręce jęj drżały jeszcze trochę, ale z bezgraniczną już ufnością w głosie, i wyrazem głębokiej słodyczy w błękitnych oczach. —

– Wierzę, Stasiu, – odrzekła, – wierzę.... Chodźmy!

W sionkach znaleźli Brygidę, schyloną nad samowarem i dmuchającą w niego z siłą, której-by jęj nie jeden mężczyzna mógł pozazdrościć.

– Dobry wieczór, kuzyneczko, – najbardziej uprzejmym swym głosem przemówił do nięj Stanisław.

Odwróciła się szybko i, przelotne zaledwie rzuciwszy na niego spojrzenie, a obojętnie odpowiedziawszy: „Dobry wieczór, dobry wieczór!” wróciła do swego zajęcia.

Pani Emma, przebywając z młodym towarzyszem swym obszerny dziedziniec, krok miała lekki i bardzo ożywione ruchy i gięsta. Oglądała się w różne strony, jakby chciała zobaczyć, czy w tryumfálnęj tęj chwili widzianą jest przez kogokolwiek z sąsiadów.

Brygida tymczasem wniosła do pokoju samowar, postawiła go na stołku i wróciła do sionek po wiązkę drewek, które ze względów oszczędności zapewne, ciężką siekierą na drobne trzaski porąbała. Z drzazgami temi przez pokój przechodząc, spostrzegła na stoliku talerz, pełen ciastek i cukierków. Stanęła i, patrząc na przysmaki, któremi przed chwilą matka jęj tak uprzejmie gościła swego częstowała, na-pół żałośnie, na-pół gniewnie głową wstrząsnęła.

Potém rzuciła w komin garść trzasek, zapaliła je, i przystawiła do ognia garnek z zastygłym rosołem. Wysła znowu do sionek i wkrótce przechodziła przez dziedziniec z ciężkim wiadrem w ręku, które, napełniwszy wodą u blizkiej studni, jakkolwiek silna, lecz zmęczona już, do sionek wniosła. Tam krzątała się i szamotała dość długo jeszcze, myjąc naczynia, wymiatając sionki i krając chléb razowy, którego téż parę kawałków na talerzu przyniosła i obok samowara postawiła. Teraz zdjęła z głowy wielką, okrywającą ją chustkę, a twarz jęj ukazała się, pośród gęstwiny

czarnych, prześlicznych włosów, śniada, z regularnymi i wyrazistymi rysami, z dwojgiem wielkich oczu, które, głębokie i ciemne, z pod energicznego łuku czarnych brwi patrzyły z ponurym prawie smutkiem. Oprócz smutku, piękną tę twarz kobiecą cechował jeszcze wyraz przyrośłego jakby do niej rozjątrzenia. Stała u okna, śniady policzek oparła na zgrubiałej, ciemnej, spracowanej dłoni, a w postawie tej, nieruchoma i zamyślona, pozostała tak długo, że widziała, jak matka jej u drzwi mieszkania adwokata żegnała się z młodym krewnym, jak on ją czule w rękę całował, jak o czémś z sobą długo poufnie z cicha mówili, jak ona wdzięcznie śmiała się z wesołych zapewne żartów jego, i jak potem z ożywionym wyrazem twarzy, z uśmiechem na zarumienionych ustach, przebiegła dziedziniec i weszła do mieszkania, znajdującego się w drugim kącie dziedzińca. Brygida, ruchem niecierpliwości pełnym, wzruszyła ramionami; krótki, szyderyczy śmiech ozwał się w szerokiej jej piersi; zmarszczyła czoło, i pochyliwszy się nad koszem, pełnym bielizny, czynnie i prędko zaczęła ją oglądać, składać i chować do jednej z szuflad komody. Nagle wyjęła z szuflady i podniosła w górę kolorowy łachmanek jakiś, krawat, czy wstążkę.

– I to wczora kupione! – szepnęła.

I wypuściwszy z palców nowy ten jakiś strój pani Emmy, stanęła znowu w uprzedniej postawie, z policzkiem opartym na dłoni, a po chwili basowym nieco, posepnym głosem swym wymówiła z cicha:

– Czyż to już zawsze tak będzie?

Pani Emma tymczasem weszła do mieszkania, które, tak jak i zajmowane przez nią, składało się z sionek i jednego pokoju. Pokój ten tylko wyglądał wcale inaczej. Niedostatnio tu było, ale nadzwyczaj, pedantycznie niemal, czysto i porządnie. Tu także znajdował się komin, do gotowania przeznaczony, ale czysto wymiecione wnętrze jego nie potrzebowało osłony żadnej. U okien firanek nie było, przy jednym z nich zieleniło się świeżo kilka wazonowych roślin, a szyby drugiego znikwały prawie pod rozwieszonymi na nich różnobarwnymi wyrobami rąk kobiecych. Były to wyroby małej, szczupłej osóбки, która, siedząc na niskim stołeczku pod oknem, pilnie zajęta była wykończaniem malutkiego dzieciennego bucika z włóczki. Wełniana suknia, gładka, tabaczkowego koloru, i gładko też uczesane, w mały warkoczyk z tyłu głowy zwinięte, włosy, świadczyły o niewytworności jej gustu, zarówno jak okrągła, rumiana twarz, i czarne, małe oczki zdradzały wyrazem swym wielką żywość i wesołość temperamentu. Pomimo jednak rumieńców i wesołości, osóбка ta wyglądała na lat przeszło czterdzieści. Głośnym okrzykiem powitała wchodzącą i, zrywając się ze stołeczka swego, zawołała:

– Mamo, mamciu! pani radczyni...

Wołanie to przerwało drzemkę drugiej, znajdującej się w pokoju tym, kobiety. Była to postać dość osobliwa: wysoka, sucha, z ostremi rysami, obleczonemi skórą delikatną i żółtawą, włosy miała siwe jak srebro, przykryte śnieżnie białym i strojnie wygarniowanym czepeczkiem, na długim, cienkim, nosie okulary w złotej oprawie, a na kolanach wielką, podartą, rozwartą książkę do nabożeństwa. We francuzki szal, z szerokimi szlakami, owinięta, zajmowała ona jedyny zbytkowny sprzęt, jaki się znajdował w mieszkaniu, wielki, wygodny, staroświecki fotel. Budząc się, pośpiesznym ruchem poprawiła układ swego szala, wyprostowała się jak struna, a na ostre rysy swe przywołała wyraz wielkiej powagi.

– Witam, witam, – wyrzekła uroczytym, nosowym nieco głosem, i gościem, pełnym łaskawości, wyciągnęła do przybyłej chudą, żółtą rękę. Pani Emma z pewnym rodzajem przymilenia i nieśmiałej czci, zbliżyła się ku dumnej staruszce.

– Przepraszam, przepraszam, – mówiła – obudziłam panią prezydentową... ale był u mnie dziś Staś Żyrewicz...

Chciała mówić dalej, lecz obie kobiety wydały taki okrzyk, jak gdyby tuż, obok nich, zaszedł nadzwyczajny jakiś wypadek. Wąskie i przecięte wargi staruszki rozwarły się uśmiechem, rumianą twarz jej córki oblał potok wesołości.

– Był! – zawołały jednogłośnie; potem zapraszały obie, każda na sposób inny, panią Emmę, aby usiadła.

– Niech pani radczyni będzie łaskawa usiądzie, – uroczyście mówiła stara.

– Niech pani kochana siada! proszę usiąść, – szczebiotała jej córka.

– Dziękuję pani prezydentowój! dziękuję panie Rozalii; przyszedłam właśnie powiedzieć, że Staś kazał oświadczyć paniom najpiękniejsze ukłony.

– Co to ukłony! jak-to ukłony! nie zaszedł, nie odwiedził... a należy się to przecież wujecznej ciotce jego, bo my, Pani Dobrodziejko, w blizkiem jesteśmy z sobą pokrewieństwem. Nieboszczka prababka moja, Sernicka z domu, z tych Sernickich, którzy Odropole w Ongrodzkim powiecie mieli, a potem co na exdewizyą poszło i lichu wszystko wzięło... otóż, nieboszczka prababka moja miała dwie córki, z których jedną wydała za Bodrzyńskiego, z tych Bodrzyńskich, do których należał kiedyś klucz Bodrzyński, ale on miał już jedną tam piękną wieś, sto chat podobno, a druga córka wyszła za Żyrewicza, dziada właśnie pana Stanisława, który miał trzech synów: Bolesława, Karola i Jana. Pan Stanisław jest synem Bolesława, bardzo ładnego za młodu chłopca, ale wielkiego utracyusza. Prześwistał też on Międzylesie, a na Żyrewiczach dłużki w sukcesyi synowi pozostawił. Szczęściem chłopiec sprytny... da sobie rady... da sobie rady... ale czemu nie zaszedł dzisiaj, nie odwiedził... to, to, to, nie dobrze... to, to, to, nie pięknie... nie pięknie...

– Robótek moich nie zobaczył! – nagle i niespodziewanie zawołała mała osóbką, wstrząsając w powietrzu błękitnym bucikiem, jakby całemu światu pochwalić się nim chciała. – On zawsze tak chwali robótki moje, i kiedyś to nawet dość ich dużo pomiędzy znajomymi swymi rozprzedał. Bardzo dobry! o, Staś bardzo dobry!

– Że dobry, to dobry, – przytwierdziła stara, – dla starszych z uszanowaniem, grzeczny, układny, znać krew obywatelską... dobrą krew... piękną krew... i w dobrym świecie żyje, w pięknym świecie, och! och! och!

Po przeciągłym westchnieniu tém smutnie czas jakiś wstrząsała głową, a zaciśnięte znowu wargi jej i siwe źrenice gniewnie, połyskujące, zdawały się mówić: „i ja kiedyś na świecie tym żyłam, i ja do niego z prawa należę! och, och, och!”

– A jakże Stasierek ma się? czy zdrów? czy wesoły? – przerywając sobie pół-głośnie liczenie oczek, zaszcebiotała znowu panna Rozalia.

– Zdrów, dzięki Bogu, i wesoły, chociaż... nie bardzo. Dokuczają mu interesa, małe tam dłużki jakieś, gospodarstwo... Martwi się biedak i zdaje mi się nawet, że zmizerniał. Szkoda go, doprawdy... taka to piękna, wzniosła dusza...

Stara zaplotła na kolanach ręce, i sztywna, jak mocno naciągnięta struna, głową tylko wstrząsała.

– Tak, tak! upada obywatelstwo nasze, upada! Czy to kto słyszał kiedy, żeby dziecko takięj rodziny gryzło się i mizerniało od kłopotów i nieprzyjemności! Motłoch teraz górą, pani moja, motłoch górą! a nam przyszło ot w dziurach takich siedzieć i patrzeć, jak dobra naszego różne figury używają... Ot, byłam dziś z wizytą u marszałkowej Korzyckiej, tego Korzyckiego żony, co to z Odropolskiej rodzi się i Ligówkę ma... piękną fortunę z pałacykiem i angielskim ogrodem... Miła osoba, bardzo miła... gościnna... przyjęła mię bardzo grzecznie, przypominała, że, będąc dzieckiem, znała mię, kiedy mieszkałam jeszcze w moich Łopotnikach i sąsiadowałam z jej rodzicami. Zapytałam się jej, czy nie wie czego o Łopotnikach. „A jakże! – mówi, – bywamy tam z mężem”. Pytam się: u kogo? kto tam mieszka? Powiedziała, że „Wyżliński jakiś, lichu wie kto i z kądem, przybędą z końca świata, przyjechał, Łopotniki kupił i rozpiera się w nich sobie, jak pan wielki... My to choć znajomemu i sąsiadowi sprzedaliśmy naszą fortunę... kiedy już koniecznie trzeba było, i zawsze myślałam sobie: no, przynajmniej z dobrej familii człowiek na naszym miejscu osiadł, bo to ten był... Prażnicki, z Saniewa i z Saniewskiej urodzony, który przez kupienie Łopotnik dobra swe chciał zaokrąglić, ale teraz, fiut! i przewróciło się wszystko do góry nogami! Prażnicki zbankrutował i dzieci jego poszły gdzieś w służbę, czy co u licha, a w Łopotnikach rozpiera się jakiś Wyżliński... żeby jego diabli z tamtąd wyparli! Ciekawam, czy choć uszanował on i porządnie utrzymuje dom ten, w którym ja większą połowę życia szczęśliwie przeżyłam, i tę aleję z akacyą, którą z nieboszczykiem

Romualdem zasadziliśmy własnymi rękoma. Nie chciałam nawet pytać się o to marszałkowej, bo żeby mi co złego powiedziała, była-bym rozplakała się, a dla mnie... okazywać żal przed ludźmi... nie wypada... nie wypada! przed jednym tylko Bogiem mogę... to, to, to, przed jednym tylko Bogiem...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.